

Regina Owczarczak, b. mieszkanka Futoru Pazichowskiego
Moje wspomnienia z przeżyć na Wołyniu do 1943 r.

*„By świat nie uczynił z Polaków
zbrodniarzy narodu ukraińskiego”*

W chwili rozpoczęcia II-ej wojny światowej w 1939 r. miałam 14 lat i byłam jedną z pięciorga dzieci w rodzinie tzw. zubożałej szlachty. Mieszkałam wraz z rodziną na futorze, stanowiącym resztówkę majątku dziadka Edwarda Pózychowskiego. Nazwa futor Pózychowskiego widniała na niektórych szczegółowych mapach (topograficznych).

Z nieistniejących już dokumentów wynikało, że pradziad mój w okresie panowania carskiej Rosji na Kresach Wschodnich Polski, przegrał w karty swój majątek w Uhorsku k. Krzemieńca na Wołyniu, a syn jego Edward dorabiał się gospodarki sam. Był budowniczym młynów wodnych i ze swoich zarobków oraz częściowo z zaciągniętej pożyczki w Kasie Stefczyka, kupił ok. 40 ha ziemi, położonej o 7 km na wschód od miasteczka Białozórka w powiecie krzemienieckim na Wołyniu.

Po zakończeniu pierwszej wojny światowej część ziemi dziadka znalazło się poza granicą polsko-radziecką i o nią, przez okres 20 lat Rzeczypospolitej, rodzice moi sądzą się z rządem bez efektu, a pożyczkę w Kasie Stefczyka trzeba było spłacić.

Dziadek mój, Edward, był dwukrotnie żonaty i miał 10 dzieci, w tym 7 synów, na których podzielono majątek, a kobietom spłacono ich część. Na tej niewielkiej i podzielonej resztówce z majątku dziadka gospodarowali dwaj bracia, tj. mój ojciec Norbert i starszy od niego o 12 lat Bernard.

Futor nasz leżał na lekkim zboczu, a przeciwległe wzgórze stanowiły tereny ZSRR.

Futor otaczało wiele drzew, szczególnie brzoź, lip i akacji oraz duży i stary (po dziadku) sad owocowy wiśni, czereśni, jabłoni i grusz. Przy samym domu rosły krzewy róż

konfiturowych, jaśminu i bzów w różnych odcieniach oraz maliny i leszczyny. Jabłonie rosnące przy domu (papierówki, oliwki i rajskie) były wyższe od budynków i zimą zamiecie śnieżne zasypywały śniegiem dom z dachem do wysokości szczytów koron drzew.

Rano trzeba było kopać tunele, aby wydostać się z domu do budynków gospodarczych czy do pompy po wodę. Zawsze w sieni stały szufle i łopaty. Do miasta, zanim śnieg nie stwardniał tak, żeby można było jechać saniami, jeździliśmy na nartach z ojcem na zmianę. Nieraz całymi tygodniami futor nasz był odcięty od świata przez wielometrowe zasy śniegu, które całkowicie zmieniały ukształtowanie terenu i łatwo było zabłądzić i przejechać na teren ZSRR.

Do futoru z miasteczka prowadziła droga zwana traktem szczasnowieckim, wzdłuż linii telefonicznej do strażnicy Korpusu Ochrony Pogranicza, a około 3 km istniała tylko wąska dróżka, prowadząca przez pofałdowany teren pól. Wiosenne roztopy i jesienne sloty czyniły z tej żyznej i ciężkiej ziemi czarnoziem iście ciasto, z którego z trudem wyciągało się nogi bez butów, bo te zostawały w błocie. Z tych powodów małe dzieci w mojej rodzinie uczyły się w domu i zdawały egzamin do starszych klas, np. ja poszłam do III-ej klasy, a Walentyna do V-ej.

Latem była to kraina mlekiem i miodem płynąca. Owoców było tak dużo, że pozostawały nie zebrane na zimę wiśnie, porzeczki itp. Była u nas taka jedna czereśnia wczesna, że w czerwcu przed końcem roku szkolnego wszystkie dzieci z mojej klasy na niej zbierały owoce, a oprócz pestek pod drzewem śladu zrywania na niej nie było. Dwoje dzieci trzymających się za ręce z trudem obejmowało pień tej czereśni.

Czasem my, dzieci, zrywaliśmy wiśnie i sprzedawali w miasteczku po 1 grosz za szklankę. Nie było tam przed wojną zbytu na owoce.

Rodzice nasi nie byli ludźmi bogatymi, ale mądrymi i światłymi, mimo braku szkolnictwa polskiego na terenach, będących pod zaborem Rosji w okresie ich młodości. Żyli bardzo zgodnie, tworząc tak rodzinną atmosferę, że nieraz mój brat Wacław i ja, kiedy ojciec nie mógł po nas wyjechać, pieszo - niemal bieглиśmy z odległego o 70 km Krzemieńca do domu na święta. Rodzice byli nam wzorem szacunku, miłości i pracowitości. Byliśmy tam bardzo szczęśliwi, lecz to przywiązanie do futoru i więź rodzinna zgubiły nas w 1943 r., kiedy zamiast uciekać do Polski centralnej - daliśmy się w dniu 2.VIII.1943 r. wymordować ukraińskim bandom UPA.

Stryj Bernard miał żonę Aleksandrę z domu Narbutowicz z Wileńszczyzny i czworo dzieci. Najstarszy ich syn, Michał, po ukończeniu państwowego seminarium nauczycielskiego w Krzemieńcu pracował do września 1939 r. jako nauczyciel na wsi poleskiej. Był on chorowity i kiedy we wrześniu 1939 r., jako zmobilizowanego oficera (stopień miał z tytułu średniego wykształcenia) złapali go bolszewicy, to z braku odcisków na rękach - przy klasyfikacji jeńców w obozie w Szepetówce - zakwalifikowany na Sybir, był w obozie w Kozielsku i zginął w Katyniu.

Młodszy ich syn, Hieronim, usamodzielniał się wcześniej i opuścił futor, kształcąc się zawodowo w Łomży. Tego zakatowali na śmierć ukraińscy bandyci UPA w listopadzie 1943 r. w Brzeżanach.

Starsza córka stryja, Walentyna, została z rodzicami i aktualnie mieszka w Warszawie, a najmłodszą córkę Emilię kształciła ciotka jej w Warszawie. Emilia, po powrocie z przymusowych robót w Niemczech, mieszka w Warszawie.

Matka moja, Anna z domu Hornik, pochodziła z Białokrynicy pow. krzemienieckiego i wywodziła się z czeskiej rodziny.

Moi rodzice i my ciężko pracowaliśmy w gospodarce, przy czym ojciec miał dużą pasiekę pszczół, która na wołyńskich ziemiach, obfitujących w miododajne rośliny (gryka itp.) dawała znaczne dochody, mimo iż wielkiego popytu na miód tam nie było.

Rodzice kształcili dzieci, gdyż gospodarstwo nasze było za małe do dalszego podziału, przy czym naukę zawdzięczamy decyzjom mamy, która uważała, że człowiek wykształco-

ny zwsze sobie poradzi. Najstarszy mój brat, Wacław, po ukończeniu państwowej szkoły średniej (seminarium nauczycielskie) w Krzemieńcu, ukończył oficerską szkołę piechoty i w 1938 r. został promowany na oficera. Wojna 1939 r. zastała go w Piotrkowie Trybunalskim, a front w Częstochowie.

Moja siostra, Jadwiga, uczęszczała do gimnazjum spółdzielczego w Krzemieńcu, a ja do wybuchu wojny w 1939 r. ukończyłam jedną klasę gimnazjum im. Tadeusza Czackiego w Krzemieńcu. Najstarsza moja siostra, Weronika, skończyła kurs pielęgniarstwa PCK, a najmłodszy brat Ryszard miał gospodarować na futorze.

Mieszkaliśmy około 70 km od Krzemieńca i było nam bardzo ciężko w szkole średniej, gdyż opłacało się wtedy i za naukę, i za internat. Brat mój nieraz spał pod mostem, gdy ojciec na czas nie zapłacił internatu. Brat udzielał też korepetycji, by móc skończyć szkołę.

Pamiętam, jak w 1938 r., kiedy zdałam do gimnazjum, ojciec kupił mi nowe pantofle za 8 zł (zawsze nosiłam po starszych siostrach). Były to najtańsze pantofle firmy „Bata” (na tekturze) i na to ojciec musiał sprzedać 100 kg zboża. Buty takie kupowało się do trumny.

Ja w gimnazjum otrzymałam częściowe stypendium za dobre wyniki w nauce. Tak bardzo pragnęłam się uczyć i byłam taka dumna, że mogę chodzić do szkoły średniej. Marzyła mi się szkoła muzyczna i operetka. Za moją naukę płacił już mój brat, Wacław, bo był po promocji.

Z jakąż niecierpliwością we wrześniu 1939 r. spakowane już do wyjazdu do Krzemieńca, oczekiwałyśmy z siostrą Jadwigą zawiadomienia o rozpoczęciu roku szkolnego, które już nigdy nie nadeszło.

Rozpoczęcie przez Niemcy wojny w dniu 1.IX.1939 r. i ich szybki marsz na wschód bardzo nas niepokoiły, lecz jeszcze bardziej zaczęliśmy bać się, słysząc nocami ryk silników, dochodzący zza pagórka, od strony radzieckiej wsi Szczasnówka, odległej od futoru około 4 km. Rodzice moi pamiętali z poprzedniej wojny, jak wielokrotnie bolszewicy stawiali ich „k-ścienkie” (pod ścianą) i obrabowali z ostatniej bielizny. Dwudziestoletniemu wówczas stryjkowi Kazimierzowi na oczach dziadka szablą ścięli głowę.

Futor nasz leżał nad samym pasem granicy polsko-radzieckiej do 1939 r., a pas ten, szerokości około 10 m, był stale bronowany i pilnowany przez patrole bolszewików, chodzących wzdłuż granicy z karabinami zakończonymi bagnetami. Pilnowali, by szpiegzy nie przekroczyli granicy ich „raju”.

Z polskiej strony granicy strzegli żołnierze KOP ze strażnicy odległej od futoru o 1,5 km na zachód, której dowódcą był plutonowy Błażej Durawa oraz z wież obserwacyjnych, rozmieszczonych co parę kilometrów. W promieniu 3 km od futoru nie było żadnego osiedla ani gospodarstwa. Na zachód od futoru w odległości 5-7 km znajdowały się gospodarstwa osadników wojskowych na tzw. Weteranówce, a na północnym-wschodzie na tzw. Dębinie mieszkali z dziada pradziada Kozubscy, Niepoczętowsky i Rosjanin Siedielnik oraz bardzo biedny osadnik wojskowy Fabian Staniszewski.

Obok nas na futorze mieszkał sąsiad Ukrainiec Fedosiuk z rodziną. Zabudowania jego stykały się niemal ze stodołą stryja Bernarda, a ogrody graniczyły ze sobą. Kiedyś Ukraińcy ci pracowali w gospodarstwie dziadka. Ich syn, Aleksander Fedosiuk, był kolegą szkolnym mego starszego brata Wacława i razem skończyli w 1935/36 r. państwową szkołę średnią w Krzemieńcu. Aleksander za wystąpienia nacjonalistyczne Ukraińców w Zbarażu został w 1939/40 r. wywieziony na Sybir, skąd na mocy porozumienia radzieckiego z gen. Sikorskim - podając się za Polaka - powrócił na futor.

Był wczesny, szary świt 17 września 1939 r. Zbudził nas szum i huk motorów dochodzący od wschodniej strony z terenów Rosji. Było ciemno. Nikt z nas nie wiedział o niemiecko-radzieckim pakcie z sierpnia 1939 r. o rozbiórce Polski i myśleliśmy, że to wojska niemieckie przeszły już na tereny radzieckie.

Ojciec wyszedł na dwór i za chwilę wrócił przerażony i mówi:

Dzieci, - to już koniec z nami, to bolszewicy, bo słysząc jak klną. Stoją na całym wzgórzu.

O godzinie 5-ej rano padł pierwszy strzał i cała chmara wojska radzieckiego ruszyła jak szarańcza polami na zachód, bez żadnych dróg czy traktów, lecz omijając futor. Słysząc było strzały od strony strażnicy KOP.

Tak się dopełnił kolejny rozbiór Polski.

Najpierw jechało trochę czołgów, następnie ciężarowe samochody z wojskiem i armatkami, a potem kawaleria i piechota. To był obraz nędzy i rozpaczy! Małe koniki, a na nich zarośnięci i brudni ludzie o wyglądzie Tatarów, bez butów, a tylko w kaloszach i owijaczach. Co piąty z nich miał karabin na parczanym pasku.

Okolo południa zajechał do nas na futor patrol radziecki z oficerem, który trącając bagnietem w obudowę kieratu konnej sieczkarni, zapytał:

Czto eto, - pulemiot? (co to, karabin maszynowy?)

Ojciec był bardzo wystraszony i pokazał co to jest za urządzenie. Oficer powiedział po rosyjsku: „*Wy nie bójcie się, my was oswobodzili*”.

Ojciec zapytał: „*Od kogo nas oswobodziliście?*”. A on na to: „*Od wsiech swołoczey Mościckich i Piłsudskich, my ich wsiech rozbrasywali*”, tj. pozzrucali ich portrety w urzędach miast.

Ludność ukraińska w miasteczku, stanowiąca większość i biedniejsi Żydzi witali bolszewików chlebem i solą oraz bramami triumfalnymi. Niszczono w pierwszej kolejności bibliotekę, a książki polskie palono. Część z nich Polacy wygrzebali i później pożyczaliśmy między sobą w Białozórce i sąsiedniej wsi Mołotkowie.

Tak się skończyło moje szczęśliwe dzieciństwo i marzenia o nauce i przyszłości.

W parę dni po wkroczeniu wojsk radzieckich byłam z ojcem w miasteczku, kiedy pędzono jeńców polskich na wschód, w kierunku wsi radzieckiej Szybenna - do Szepetówki. Byli tam kobiety i mężczyźni w różnym wieku, w mundurach i ubraniach cywilnych. Szli pieszo, całą szerokością ulicy. Po bokach, eskortując ich, szli „bojcy” uzbrojeni w karabiny i nie pozwolili nam nawet podejść do jeńców. Ludzie ci byli straszliwie zmęczeni. Po raz pierwszy widziałam ludzi śpiących w marszu. Byli głodni, więc dzieci rzucały im bułki i chleb. Z urywków zdań dowiedzieliśmy się, że to byli Polacy, uciekinierzy przed Niemcami i pochodzili z centralnej Polski.

W naszym miasteczku sklepy, stanowiące własność Żydów, były zamknięte, a zapasy, szczególnie soli, nafty i mydła, wyczerpały się. Nie było gdzie kupić obuwia ani odzieży, więc przerabiano z ojca i dziadka co się tylko nadawało.

Przyszła zima 1939/40 r. i zaczęto wywozić Polaków na Sybir. W pierwszej kolejności wywieziono rodziny wojskowych, urzędników, nauczycieli, osadników wojskowych i chodzących w mundurach (gajowych, listonoszy oraz tzw. kułaków). Z osadników wojskowych pozostało w Białozórce dwóch synów Bosakowskiego, tj. mój kolega szkolny, 14-letni Zbyszek i jego młodszy brat, 12-letni Edmund, przebywający tam bez rodziców na wakacjach oraz wielodzietna rodzina bardzo biednego Fabiana Staniszewskiego, a także żona komendanta strażnicy KOP Durowa. Miała ona małą córeczkę Janinę i sama była w ciąży. Zostały one tylko w ubraniu, gdyż zaraz po przejściu wojsk radzieckich Ukraińcy zrabowali ich mienie.

Siedzieliśmy na futorze spakowani na workach z sucharami chleba i czekali, kiedy Ukraińcy podjadą saniami i rozkazą „sobiraj wieszczy” (zbieraj rzeczy), by w ciągu 15 minut zabrać nas i wywieźć na „białe niedźwiedzie”.

Durawową wzięli do siebie jedni z bogatszych gospodarzy w Białozórce, St. Strzyszkowscy, gdzie mieszkała aż do wywiezienia jej w lutym 1940 r. na Sybir. Stanisław Strzyszkowski, który był moim stryjem (moja babka i jego ojciec byli rodzeństwem) i chrzestnym ojcem, w grudniu 1939 r. zabrał do siebie i zaopiekował się Zbyszkiem Bosakowskim i jego młodszym bratem Edmundem. Czasem bywaliśmy z ojcem u Strzyszkow-

skich, lecz jego żona nie dała się lubić. Właściwie żyliśmy odosobnieni na futorze w przyjaźni z rodziną Kozubskich i Niepoczetowskich.

Rosjanie słabiej strzegli przedwojennej granicy z Polską, więc wybrałam się w grudniu 1939 r. wraz z młodszym 10-letnim bratem Rysiem na nartach do odległej o 4 km radzieckiej wsi Szasnowka, by za jajka i masło wymienić w tamtejszej kooperatywie potrzebną nam sól, naftę i mydło, bo praliśmy już ługiem z popiołu drzewnego.

Byłam wówczas mała, szczupła, a z warkoczami wyglądałam jak dziecko. Miałam na sobie szkolną bluzę, granatową z oksydowanymi guzikami i tam długo musiałam ludziom tłumaczyć, że to nie mundur organizacji, tylko ubiór szkolny.

W Szasnowce zastała nas śnieżycą i musieliśmy przenocować. Przyjął nas najbogatszy człowiek we wsi, krawiec w kooperatywie. On pamiętał naszych rodziców z futoru i przyjął nas serdecznie. Kupił od nas nasze produkty, a za te pieniądze kupiliśmy w kooperatywie potrzebne nam towary. Bieda w tej wsi była straszna. Nigdzie chlewika ani żywego inwentarza, psa czy kota. W domu krawca zamiast łóżka na wbitych w ziemię słupach leżało parę desek, a na nich słoma przykryta radnem. Nie było żadnej poduszki, kołdry czy koca. Tam spali gospodarze. My z ich dwojgiem dzieci siedzieliśmy na piecu chlebowym tzw. zapiecku, nasłuchując ze strachem wycia wichury. W piecu palono słomą i gotowano w specjalnych garnczkach kolację. Na zapiecku było ciepło. Byliśmy głodni i zziębnięci, ale tego, co było na kolację, nie dało się jeść. Były to całe buraki pastewne, bez żadnej okrasy, przyprawy i smaku. Zarówno w ich kooperatywach, jak i domach nie było nic do jedzenia, ani maki, kaszy, chleba czy ziemniaków - nie mówiąc o mięsie i wędlinach.

Później jeszcze kilka razy jeździłam z ojcem do sąsiedniej wsi Szybenny i do miast Jampola i Szepetówki. Wszędzie była bieda i głód. Kooperatywy niemal puste, a ludzie ubrani w bezbarwne, wypłowiałe drelichy, a zimą w watowane „kufajki” i kalosze. W wielkiej tajemnicy opowiadali o głodowej śmierci tysięcy ludzi w okresie kolektywizacji wsi i kryzysu gospodarczego z lat 1929/33.

Pamiętam, jako dziecko widziałam przed wojną całe łany dojrzałej pszenicy na wzgórzu radzieckim, którą zasypywał śnieg i nikt jej nie zbierał.

W 1939/40 r. ludzie radzieccy zaczęli się przekradać do nas i kupować od Żydków tkaniny, a od nas zboże, które po kryjomu nosili na plecach do siebie i tam mieli na żarnach, gdyż młyny tam zlikwidowano, a i żarna milicja im rozbijała, by nie kradli z kolchozu zboża na placki, zastępujące chleb.

Tej nędzy komunistycznego „raju” nie da się opisać!

Przerażeni grozącą nam nędzą i wysyłką na Sybir, nasłuchiwaliliśmy wieści z frontu wschodniego i oczekiwaliśmy klęski wojsk radzieckich. Nastąpiło to w naszym miasteczku 11 lipca 1941 r. Otaczające futor łany żyta i pszenicy stały dojrzałe do zbioru. W radiu podawano komunikaty o zwycięstwach wojsk radzieckich w bitwach o Tarnopol.

W południe, od zachodu z kierunku Tarnopola, dały się słyszeć strzały armatnie, a kiedy koło nas zaczęły fruwać odłamki pocisków, wypuściliśmy bydło z uwięzi i rozpierzchliśmy się na wszystkie strony w pola. Ja z mamą znalazłam się na miedzy pomiędzy żytem a wysokimi konopiami, gdy nagle naprzeciw nas wyjechał na koniu oficer radziecki w skórzanej kurtce i, mierząc do nas z pistoletu, wrzasnął: „Gawari gdzie Niemcy, bo ubju!” (mów, gdzie Niemcy, bo zabiję).

Mama, rwącym się ze strachu głosem, mówi po rosyjsku, iż nie wiemy, bo od rana słychać strzały armatnie od strony Tarnopola, a tuż za naszym futozem, te łany żyta na pagórku - to ziemie radzieckie i dalej już są ich wsie.

Zagroził, że jeśli kłamiemy - to wróci i zabije. Nie wrócił. Nagle, bardzo nisko nadleciały samoloty niemieckie, które z karabinów maszynowych siekły do pieszo uciekających w popłochu żołnierzy wojska radzieckiego, jak do zajęcy. Całe wzgórze pokryły radzieckie trupy. W parę dni później ludzie ze Szasnowki zakopywali je na tym pagórku.

Wieczorem wielu żołnierzy radzieckich, rannych, z obtartymi do ran nogami w czasie marszu-ucieczki do Tarnopola, schroniło się w naszej stodole. Byli to młodzi ludzie, a jeden z nich z Syberii miał babkę Polkę. Siostra moja Weronika opatrzyła im rany, nakarmiśmy ich i dali stare ubrania, by mogli dojść do swoich, radzieckich ludzi. Tłumaczyliśmy im, że nie możemy ich schronić przed Niemcami, gdyż mieliśmy sąsiada Ukraińca, który mógł donieść Niemcom, a za to groziła nam śmierć. Poszli. Na drugi dzień Niemcy przeszukiwali teren i dobijali rannych żołnierzy radzieckich, a wśród nich i tego 19-letniego sybiraka - niedaleko od futoru.

Po ucieczce armii radzieckiej ze wschodnich ziem przedwojennej Polski, tj. z woj. stanisławowskiego, Podola, Wołynia, Polesia i Wileńszczyzny - wkroczyli tam Niemcy. Ukraińcy, którzy na Podolu i Wołyniu stanowili większość - współpracowali z Niemcami. Utworzyli urzędy i milicję ukraińską, którą Niemcy uzbroili, a broni tej Ukraińcy użyli m.in. w 1943 r. do mordowania Polaków. Ukraińcy uczestniczyli w likwidacji Żydów i rabowali ich mienie. Typowali i wywozili Polaków oraz bogatych i niewygodnych Rosjan i Ukraińców na roboty do Niemiec, ściągali podatki i kontyngenty zboża itp. dla Niemców.

Życie Polaków w naszym miasteczku powoli zamierało. Spotykaliśmy się najczęściej w kościele, gdzie śpiewaliśmy w chórze kościelnym. Proboszczem naszym był młody ksiądz Władysław Terlikowski, który podtrzymywał nas na duchu.

Latem 1942 r. odtransportowano na stację kolejową do Krzemieńca wytypowanych do wywiezienia na roboty do Niemiec z Białozórki i okolic.

Zabrano wówczas moją siostrę Weronikę, ale uciekła ona z transportu w Krzemieńcu i do maja 1943 r. ukrywała się w górach u rodziny i znajomych w okolicy Krzemieńca. Zabrano też mieszkającą blisko futoru córkę bogatego Rosjanina Raisę Siedelnikow oraz Feliksa Lewieckiego z Mołotkowa. Lewiecki krótko przed wojną ukończył szkołę średnią w Krzemieńcu i był kolegą mojej siostry. Nieraz przychodzili wraz ze Stanisławem Stybelskim na futor odległy ponad 10 km od Mołotkowa. Wymienialiśmy książki i dyskutowali o ciężkich losach naszej ojczyzny.

Przed wysyłką do Niemiec przyszli obaj pieszo do nas na futor. Było to bardzo serdeczne, lecz smutne ostatnie spotkanie młodzieży, na którym deklamowano wiersze i śpiewano piosenki. Było to pożegnanie grupy starszej młodzieży polskiej inteligencji naszego miasteczka.

Wkrótce wytypowano i zabrano do Niemiec córkę stryja Bernarda - Emilię i moją drugą siostrę Jadwigę, która uciekła z transportu na stacji kolejowej w okolicach Krakowa i zatrzymała się u brata Wacława w Jędrzejowie w woj. kieleckim, gdzie on pracował jako robotnik melioracji. Brat jako przedwojenny oficer WP ukrywał się przed Niemcami i często zmieniał miejsce zamieszkania.

Na futorze zostałam ja i 12-letni mój brat Ryszard z rodzicami. Bardzo ciężko pracowaliśmy, gdyż za żadne pieniądze nie można było nikogo wynająć do pomocy. Ręce mi popuchły od sierpa, którym zbieraliśmy zboże za wysokie do koszenia kosą, tak że nie mogłam utrzymać grzebienia czy łyżki. Od formowania snopów z wysuszonych pokosów owsa i jęczmienia miałam całe nogi w ranach.

Zimą 1942/43 r. rodzice moi przygarnęli małżeństwo nauczycieli Kazimierę i Romana Marszałowiczów, gdyż nie mieli z czego żyć, a Roman był kolegą szkolnym mojego brata Wacława z seminarium w Krzemieńcu. W maju 1943 r. Marszałowiczowie przekradli się przez granicę ukraińsko-galicyjską w Koszlakach i pojechali do rodziny w woj. rzeszowskim.

Wiosną 1943 r., kiedy w Mołotkowie zabito żonę i dzieci pracującego w Krzemieńcu Brandta, ściągnął on wojsko niemieckie z Krzemieńca i dokonali pacyfikacji ludności polskiej i ukraińskiej Mołotkowa. Palono wszystkie domy, a ludzi rozstrzeliwano. Niektórzy Niemcy litowali się nad kobietami polskimi i pozwalali im uciec, zabijając wszystkich mężczyzn.

Tak zabito ojca i młodszego brata Feliksa Lewieckiego, Stanisława, mojego szkolnego kolegę. Pozwolono uciec jego matce i siostrze Helenie, które przedostały się do Galicji, gdzie było spokojniej, z uwagi na istniejące tam posterunki niemieckie.

Było to prawdziwe piekło, a osmalone, obrzęknięte trupy ludzi w Mołotkowie leżały przez kilka dni. Byłam tam z ojcem.

W maju 1943 r. przez granicę galicyjsko-ukraińską w Koszlakach wrócił na futor mój starszy brat Wacław wraz z ciężarną żoną i 1,5 rocznym synkiem oraz z siostrą Jadwigą. Wróciła też do domu z tułaczki po górach krzemienieckich moja siostra Weronika. Uciekła ona przed ukraińskimi bandami UPA, które w tamtych okolicach nocami paliły już gospodarstwa i osiedla polskie.

Co było powodem powrotu na tereny wschodnie mojego brata Wacława - nie wiem. Czy zmęczyła go ciągła ucieczka przed niemieckimi łapankami, gdy ukrywał się w Warszawie, Częstochowie i województwie kieleckim, czy ciężkie warunki materialne jego rodziny, czy też dostał takie polecenie od AK? Brat po powrocie do domu często rozmawiał z ojcem, a potem wychodził wieczorami i wracał późną nocą.

Latem 1943 r. Ukraińcy wywiesili na murach, drzewach i słupach ogłoszeniowych w miasteczku oświadczenia-odezwy do Polaków o tym, że „*Ukraina będzie w granicach etnograficznych*”. Zrobiło się bardzo niespokojnie. Nocami na horyzoncie w stronie zachodniej widoczne były dalekie łuny pożarów.

Którejś nocy w końcu lipca 1943 r. zjawił się na futorze nasz ksiądz w cywilnym braniu. Był wystraszony, bo został uprzedzony o zamiarze zamordowania go przez bandę ukraińską, więc uciekał w stronę Koszlak. Ksiądz usiłował namówić mego ojca do ucieczki do centralnej Polski, lecz ojciec mój bał się, że umrzemy tam z głodu i chciał choć trochę zboża zebrać.

My z siostrami prosiłyśmy o pozwolenie na ucieczkę, lecz zdecydował tu głos najstarszego brata Wacława (znającego świat), który sprzeciwił się temu, twierdząc, iż nie damy sobie rady.

W niedzielę pierwszego dnia sierpnia 1943 r. dzień był pary i nawet słońce było zamglone. Chodziliśmy na futorze przygnębieni, unikając się nawzajem. Ksiądz już nie było, więc i do kościoła nie poszliśmy. Wieczorem, jak zwykle, przyszedł do nas sąsiad Ukrainiec Aleksander Fedosiuk. Brat mój Wacław w rozmowie z nim powiedział, iż czasy są niespokojne, lecz my nikomu krzywdy nie zrobiliśmy, więc gdyby nam groziło niebezpieczeństwo - to przez wieloletnią przyjaźń - Aleksander nas uprzedzi, to my wyjedziemy do Polski Centralnej. On to potwierdził, a o 2.00 w nocy przyszedł wraz z uzbrojonym oddziałem bandytów UPA, by wymordować całą moją rodzinę.

Tragedii nocy z 1-go na 2-go sierpnia 1943 r. nie da się zapomnieć. Część mojej rodziny, tj. ojciec, matka, dwie siostry i najmłodszy brat spaliśmy od wielu dni w stodołach i szopach na sianie. Obudziło nas światło latarek i rozkaz w języku rosyjskim, by udać się do mieszkania w celu przeprowadzenia rewizji, bo podobno u nas jest broń. Z uwagi na upały byliśmy w skąpej bieliźnie nocnej, tylko mama wsunęła nogi w buty.

Idąc pod eskortą uzbrojonych bandytów ścieżką wśród krzaków malin od budynków gospodarczych do mieszkania, widziałam, że wszystkie okna w domu zostały obstawione przez uzbrojonych ludzi.

W mieszkaniu obudzili mego brata Wacława i kazali się zebrać w jednym pokoju, by im nie przeszkadzać w rewizji.

Było nas 12 osób, tj. 10 z mojej rodziny i stryj Bernard z żoną. Bandyci cały czas mówili po rosyjsku, podszywając się pod partyzantów radzieckich i dopiero kiedy powiedzieli „*blіže k-ścienkie*” i „*wy chotite samostijnej Ukrainy*” (my Polacy) zdaliśmy sobie sprawę kto to jest i że to koniec.

Zobaczyłam pobladłą twarz mamy i nawet nie zdążyliśmy odpowiedzieć, gdy od drzwi z przedpokoju padły ze trzy serie strzałów z karabinu maszynowego. Z odległości 2-3 m

widziałam błyski w czasie strzałów. Zestrzelone światło lampy naftowej, stojącej na stole przed nami, pograżyło pokój w ciemnościach i straciłam przytomność.

Gdy się ocknęłam - modliłam się. Leżałam na podłodze pod czyimś ciężkim ciałem, które może w ostatnich konwulsjach wciągało mnie pod siebie. Słyszałam jego charczący oddech, jęki konających i kilkakrotny krzyk mojego 14-letniego brata Rysia „*Ja tak nie chcę*”. Nie bolało mnie nic, a kiedy uniosłam głowę, zobaczyłam na tle światła w pokoju stryja (za przedpokojem), że nikogo nie ma w przedpokoju. Bandyci rzucili się w tym czasie do rabunku u stryja i w budynkach gospodarczych.

Chyba instynktem życia wiedziona - wstałam i niemal po kostki brodząc we krwi, prześlizgnęłam się przez drzwi boczne do kuchni. Tam przez tapczan stojący przy oknie wychodzącym na ścieżkę do budynków gospodarczych, nie zastanawiając się, wyskoczyłam i wpadłam w krzaki malin tuż obok tej ścieżki. Na tapczanie do bosych i mokrych od krwi stóp przykleiła się poszewka z pościeli, a na oczy spływała mi krew z rany głowy.

Nic wówczas nie myślałam, bo gdyby działał zdrowy rozsądek, to przecież widziałam wcześniej obstawione okna domu i nie próbowałabym tam uciekać. Wyskakując przez okno, widziałam łunę ognia w stronie zamieszkania rodziny Kozubskich.

Byłam jak zaszczute zwierzę. Leżałam odrętwiała ze strachu, gdy nagle usłyszałam biegnących i klnących po ukraińsku bandytów, a równocześnie strzał nad moją głową. W jednej sekundzie pomyślałam, że mnie odkryli i skuliłam się, czekając ciosu, ale oni wówczas zobaczyli dalej moją siostrę Jadwigę uciekającą do krzaków róż i jaśminów. Zabili ją i później podpalili.

Po tym fakcie bandyci wrócili do pokoju trupów. Zapalili knot lampy i zabili płaczące w kołysce 8-dniowe dziecko Wacława oraz zdjęli buty z nóg mojej matce, leżącej na tapczanie pod ciałem Wacława, myśląc, że jest ona trupem. Dali jeszcze dwie serie strzałów po trupach i kończąc rabunek odzieży, pościeli itp. w domu oraz maszyn i inwentarza żywego w budynkach gospodarczych - podpalili je i odjechali.

Słyszałam pojedyncze detonacje koło płonących budynków magazynu - to była amunicja Wacława, pseudonim „Gołąb”, który był dowódcą organizowanego oddziału AK, ale ja o tym nie wiedziałam i myślałam, że jeszcze bandyci działają.

Rana na głowie zaschła i tylko coraz bardziej bolała mnie prawa noga, gdyż miałam trzy kule w udzie, które, jak się w Koszlakach okazało, nie naruszyły kości.

Komary, czując krew, bzykały nade mną, a kiedy był już dzień, zdecydowałam się wyjść i szukać pomocy. Idąc koło domu, widziałam przez wybite okno ciało zabitego brata Wacława, opartego o ścianę z ranami na skroni, roztrzaskaną główkę 8-dniowego dziecka w kołysce i nikt nie odczywał się na moje wołanie. Widziałam też dopalające się zwłoki mojej siostry Jadwigi leżącej koło jaśminów. Myślałam, że zostałam tylko sama i nie wiedziałam co robić.

Kuśtykałam okrwawiona jak upiór w stronę budynków sąsiada Ukraińca, gdy nagle spoza drzew z podwórza sąsiada usłyszałam krzyki i głosy mojej bratowej Marii: „*Mamusiu - Gina żyje!*” (tak mnie w rodzinie nazywano).

Nie da się opisać rozpaczyny matki po stracie dzieci i tak dobrego męża. Wyglądała jak nieprzytomna czy obłąkana. Nikt z nas nie płakał, bo z bólu chyba łzy wyschły.

Ukraińcy - sąsiedzi z Aleksandrem Fedosiukiem stali ze spuszczonej głowami, a naprzeciw nich w bieliźnie stały: chora (po porożu) bratowa Maria z wylęknionym półtorarocznym synkiem (w koszulince) na ręku, moja mama oraz na ziemi leżała ranna w nogę żona stryja Bernarda. Wyszli oni z pokoju trupów, kiedy mama zawołała: „*Wstawajcie kto żywy!*”.

Odczywał się wówczas żyjący jeszcze stryj Bernard i prosił: „*Ciągnijcie mnie, ja nie chcę się spalić*”. Kobiety z trudem wyciągnęły go przed dom, bo był w stanie agonii i głowa stukała po schodach. Miał wiele ran na piersiach i odstrzeloną za kostką prawą rękę. To

on mnie zastrzelił i zagarnął ręką pod siebie, a kula, która mnie raniła w głowę, urwała mu rękę. Zaraz też umarł.

W czasie tej masakry nawet niespełna dwuletni synek Wacława, przygnieciony na tapczanie ciałem zabitego swego ojca i leżącej babci, tj. mojej mamy, zaczął płakać, a kiedy ta szepnęła mu: „*Nie płacz, babcia jest przy tobie*” do końca masakry nie odezwał się, a na wezwanie babci wstał jak duszek blady i przestraszony. Przez wiele tygodni dziecko to nie odezwało się i nie zapłakało. Milczało jak nieme i tylko nie dało od siebie odejść.

Nikt z Polaków nie przyjechał z miasteczka (Białozórki) i nie zainteresował się nami. Z późniejszych informacji Polaków, uciekinierów z Białozórki, udzielonych mi w Koszłakach wynika, iż w nocy z 1-go na 2-go sierpnia 1943 r. został wysłany na futor jakiś szewc, który miał nas uprzedzić o planowanym napadzie, lecz on nie przyszedł.

Rano 2-go sierpnia 1943 r. wróciła do domu na futor córka stryja Bernarda - Walentyna, która tragicznej niedzieli była u koleżanki w miasteczku. Moja mama zawsze była energiczna, a teraz zdając sobie sprawę, że musi nas uratować - oblewając przedtem wodą z beczek stojących koło pompy palące się okno - wskoczyła do mieszkania po resztki odzieży i płótna do opatrzenia ran, ale tam już nic nie było. W sadzie, graniczącym z sąsiadem Fedosiukiem, znalazła trochę naszego ubrania, które bandyci zagrabili i niosąc zgubili.

Przy pomocy dzieci bardzo biednego osadnika wojskowego Staniszewskiego i rodziny Niepoczętowskich, mieszkających o parę kilometrów od futoru, mama skręciła ze sznurków uprząż do starego wózka, stojącego w szopie przy budynkach ukraińskiego sąsiada (i dlatego nie spalonej).

Dzieci Staniszewskiego odnalazły i przyprowadziły pasącą się na łące starą klacz-emerytkę, którą mama zaprzęgała do wózka. Na nim położono ranne kobiety i dziecko, przywiązano jedyną krowę, która wyrwała się bandytom, a same idąc pieszo ruszyły do odległych około 10 km Koszłak. Na pożegnanie mama powiedziała Ukraińcom, by im Bóg zapłacił za to, co nam zrobili.

Gdybyśmy zostali w futorze do wieczora, bandyci na pewno zabiliby nas, tak jak wielu Polaków, którzy nie zdążyli uciec z Białozórki.

Około południa dotarliśmy do Koszłak, a tam Polski Komitet Opieki nad Uchodźcami, przy pomocy żołnierzy niemieckich udzielił nam pomocy lekarskiej i zaopiekował się nami, a w następnym dniu odtransportowano nas do Zbaraża.

Paru Polaków za zgodą Niemców pojechało z Koszłak na futor i do gospodarstwa Kozubskich, ale tam już nikt nie żył. Nasz ukraiński sąsiad Fedosiuk uciekł z rodziną z futoru, bojąc się zemsty, lecz nikt z Polaków na nich się nie mścił.

Ci sami bandyci w tę samą noc 2 sierpnia 1943 r. wymordowali rodzinę Kozubskich, zabijając Narcyza, jego żonę Helenę i 18-letnią córkę Emilię. Uratował się tylko najmłodszy ich syn Apolinary, który słysząc nadchodzących bandytów uciekł i schronił się na drzewie. Nie odezwał się on, kiedy na polecenie Ukraińców ojciec go wołał. Obecnie mieszka w Rzeszowie. Żyje też z tej rodziny starszy syn Henryk, którego w 1940/41 zabrali Sowieci do wojska. Obecnie mieszka w Kanadzie.

Rozbitkami z mojej rodziny zaopiekował się syn stryja Bernarda, Hieronim Pózichowski, który zabrał nas do Brzeżan, gdzie pracował w majątku.

Bratowa Maria wraz z synkiem wyjechała do swoich rodziców w Częstochowie, a my zostałyśmy w Brzeżanach. Rozpoczęłam pracę w biurze ewidencji junaków, lecz byłam nieprzytomna i odrętwiała. W końcu listopada 1943 r. opiekun nasz, Hieronim, pojechał rano do pracy w majątku koło Brzeżan i już nie wrócił. Od jednego z pracowników dowiedziałam się, że ukraińska banda zakatowała go na śmierć w drutach kolczastych i nawet ciała nie wydali. W grudniu 1943 r. przy pomocy PKOnU w Brzeżanach stryjenka z córką Walą wyjechały do Warszawy, a ja z mamą pojechałyśmy do Dęby k. Tarnobrzega do kolegi mego brata Wacława - Romana Marszałowicza.

Z wielu rodzin polskich nikt nie ocalał, a majątek ich Ukraińcy zrabowali i zniszczyli.

Bez wieści zginęła z rąk Ukraińców w maju 1943 r. trzyosobowa rodzina Tyszkiewiczów w Białozórce - Dębinie. Także czteroosobowa rodzina mojego stryja Romana Pózi-chowskiego z Wiśniowca w pow. krzemienieckim.

Tak tworzyli Ukraińcy „tereny etnograficzne Ukrainy”, a ziemie wołyńskie użyźniali krwią pomordowanych Polaków, żyjących tam z dziada pradziada. Ofiary te nie mają dziś mogił ani krzyży. Nikt o nich nie wie, a niedługo świat i młode pokolenie zapomni, kto kogo mordował: Ukraińcy Polaków, czy Polacy Ukraińców?

Co zawiniło Ukraińcom nasze pokolenie Polaków? Nikt z mojej rodziny czy znajomych nie zamordował Ukraińca, ani nie zrabował jego mienia.

Jak można mówić o „ich odwecie”, rozrachunkach, czy domagać się przez Ukraińców choćby moralnego zadośćuczynienia i przebaczenia nam Polakom?

Za co zadośćuczynienie? Za zbrodnie ludobójstwa i bestialstwo wobec Polaków oraz za przelaną krew niewinnych ludzi i dzieci polskich w 1943 r. i nie tylko, a także za zagarnięcie ich mienia?

Co mają oni mnie wybaczać? To, że żyję, że mnie wtedy nie zabili i pozbawili mnie wszystkiego? Komu tu należy się zadośćuczynienie?

Ja pamiętam, że Ukraińcy w okresie XX-lecia międzywojennego (do 1939 r.) w Polsce mieli w państwowych szkołach lekcje własnego ukraińskiego języka, religię prawosławną w języku ukraińskim, własne cerkwie, seminaria duchowne, zakony i majątki. Mieli takie same uprawnienia do konkursowego egzaminu i nauki w państwowych szkołach średnich jak Polacy, a dostać się do gimnazjum było trudniej niż dziś na studia wyższe.

Czym się odplacili Polakom ci wykształceni w Polsce Ukraińcy? Świadczą o tym zbrodnie przez nich dokonane w 1943 r. na polskiej ludności kresowej, a także napady na żołnierzy WP w 1939 r. i późniejsze w Bieszczadach, już w PRL.

Przez te 47 lat od 1943 r. nie pisałam na temat zbrodni ukraińskich na Wołyniu, wiedząc, że i tak moich najbliższych nikt mi nie zwróci i krzywd nie naprawi, ale wobec coraz częstszego głoszenia przez środki masowego przekazu i prasę o „odwetowych krwawych zmaganiach Polaków i Ukraińców” i wspaniałomyślnego „przebaczenia Polakom doznanych krzywd” - postanowiłam, dając świadectwo prawdzie, przekazać wspomnienia z moich przeżyć.

Niech one - choć stanowią tylko fragment tragedii Polaków - zostaną wykorzystane dla zapobieżenia fałszowaniu historii z tego okresu i aby z Polaków nie zrobiono morderców narodu ukraińskiego.

P.S.

Mimo pozbawienia mnie domu, ziemi i rodziny i choć, jako najmłodsza w rodzinie, miałam najmniejsze przygotowanie do samodzielnego życia w Polsce - nie umarłam z głodu.

Nieraz było bardzo ciężko, ale pracowałam, utrzymywałam matkę, założyłam rodzinę i, zarówno sama, jak i moich dwoje dzieci ukończyliśmy studia wyższe.

Nie otrzymałam żadnej rekompensaty, a w moich stronach rodzinnych nie byłam od 1943 r., bo nie mam do kogo wrócić.

Relacja Emilii Wolanickiej z Krzemieńca (spisał Leon Popek dn. 13.08.1998)

Ze wspomnień mojej mamy, Stanisławy Czajkowskiej z d. Juskiewicz wiem, jak ocalała moja rodzina, która do lata 1943 mieszkała w Szpikołosach, pow. krzemieniecki.

W dniu, w którym mieli napaść banderowcy (lato 1943), ok. godz. 10.00 w nocy, przyszedł do mieszkania mamy sąsiad Ukrainiec i zapytał „czy *ma gorącą wodę*”. To pytanie